Kolekcja
Emila Kornasia

Wojewódzka Biblioteka Publiczna CZYTELNIA w Opolu

Należytość pocztową uiszczono gotówką.

Nr. 63 Lwów, Grudzień 1929 Rok VI.

PANTEON POLSKI

Poświęcony czynowi Józefa Piłsudskiego i bohaterstwu Żołnierza Polskiego, kronice walk o Niepodległość i pamięci poległych Obrońców Ojczyzny o wolność Polski.

WYCHODZI KAŻDEGO MIESIĄCA POD REDAKCJĄ Z. ZYGMUNTOWICZA

Lwów-Skrytka 98. — Telef. 22-90. — PKO. Warszawa 152.930. — Kwart. zł. 2.50. CENA EGZ. 1 ZŁ.

Szkoła instruktorów Strzelca w Stróży 1913 r.

W zeszytach „Panteonu" 46—47, 48 i 49 z 1928 r. umieściliśmy dłuższą pracę Z. Zygmuntowicza o „Szkole instruktorów Strzelca w Stróży 1913 r.", opartą na urzędowych dokumentach i na opisach uczestników.

Ponieważ w książce Gustawa Daniłowskiego: „*Z jednego źródła*" znaleźliśmy ostatnio obszerniejsze wspomnienie z czasów tej Szkoły, przeto dla dokładnego zapoznania się z życiem i stosunkami w Szkole przedrukowujemy wspomnienie to, opisane przez nieodżałowanego, wielkiego pisarza i uczestnika walk o niepodległość i uczestnika tej Szkoły.

Redakcja.

Ze wspomnień szkolnych.

„Mniej więcej na rok przed wojną ruch strzelecki rozwinął się o tyle, że można było utworzyć letnią szkołę podoficerską. W tym celu został wynajęty z zabudowaniami dwór po rozparcelowanym majątku we wsi Stróża, w pięknej, podgórskiej okolicy Limanowskiego powiatu.

Do szkoły zaciągnęło się około stu ludzi z Galicji i Królestwa. Około dwudziestu pięciu królewiaków specjalnie w tym celu przedarło się za kordon.

Uczniowie rekrutowali się częściowo z inteligencji, rzemieślników i robotników; było też kilku chłopów.

Dwór został przerobiony na koszary. Umeblowanie składało się z tapczanów, służących za łóżka, a nad każdym tapczanem znajdowały się trzy kołki.

Na pierwszym wisiał manlicher, na środkowym tornister, na ostatnim z prawej strony saperska łopatka, zaś na gwoździu u góry umieszczało się menażkę.

Pierwsze trzy plutony mieściły się we dworze, czwarty, t. zw. „etranżerów", młodzieży z zagranicznych uniwersytetów, miał swój lokal w stodole.

Na czele każdego plutonu stał podporucznik, który razem z żołnierzami sypiał. Byli nimi, obecny kapitan, Wyrwa Stanisław i kapitan Karasiewicz Jerzy; podoficerem inspekcyjnym był, dziś już poległy, porucznik Kordjan.

Żołnierze i oficerowie nosili pseudonimy, właściwe nazwiska miała tylko komenda główna.

Moim pseudonimem był „Tankred", który mniej wykształceni towarzysze moi przerabiali na „stangret".

Należałem do drugiego plutonu, składającego się z królewiaków.

Wyższe szarże: komendant Piłsudski, szef sztabu Sosnkowski i major Trojanowski zamieszkiwali domek po za ogrodem, otaczającym koszary.

Tryb życia był następujący: o godz. 6-ej na dźwięk pobudki wstawaliśmy i biegliśmy do wspólnej umywalni, którą stanowił dość szeroki, górski strumień.

O pół do 7-ej w pełnym rynsztunku stawaliśmy na zbiórkę i mieliśmy krótką lekcję gimnastyki, punkt o 7-ej zjawiali się nasi naczelnicy, komendant odbierał raport, poczem szliśmy na śniadanie.

Nasz jeneralny kucharz, bohatersko i męczeńsko poległy (wzięty do niewoli i powieszony przez Moskali), porucznik Kaszubski, nalewał warząchwią do menażki kawę, a jego pomocnicy, odkomenderowywani kolejno szeregowcy, dolewali

mleka, rozdawali cukier i chleb, którego racja stanowiła dwa funty na cały dzień.

Po śniadaniu następowały wykłady. Taktykę, materjały wybuchowe, roboty minierskie — wykładał szef sztabu Sosnkowski, balistykę i o broni — major Trojanowski. Wykłady komendanta Piłsudskiego były natury ogólnej.

Komendant z całą otwartością przedstawiał nam wszystkie trudności, jakie napotkamy na samym wstępie, t. j. podczas mobilizacji sił zbrojnych, na terenie, będącym pod panowaniem wroga, wskazywał na znikomość środków technicznych improwizowanej armji wobec olbrzymiego aparatu, jaki na swe usługi posiada państwo: koleje, telegrafy, magazyny z żywnością i bronią, środki prawnego przymusu, stałe kadry wojskowe, ogromną organizację gotową do wchłonięcia powołanych pod broń wyćwiczonych sił.

My tego wszystkiego nie posiadamy, naszym materjałem ludzkim jest w dodatku ochotnik, do którego przymus stosowany być nie może.

Wszelkie rachuby nasze zła wola wroga jest w stanie powikłać.

Słowem, powstanie ma do czynienia z tysiącem niewiadomych i luźnymi atomami, które w żaden system się nie układają i które często tylko za pomocą bardzo misternych, opartych na zmyleniu czujności wroga, sposobów połączyć się daje.

Tezy swe Piłsudski ilustrował przykładami z roku 31 i 63 i stale powtarzał nam, że na początku ruchu możemy liczyć na szczupłą tylko awangardę, która musi zaryzykować i pociągnąć za sobą „siły główne".

Braki nasze musimy wynagradzać siłą moralną.

Przepowiednie komendanta potwierdza obecna wojna.

Wykłady komendanta odznaczały się niezwykłem bogactwem myśli i tak trafnem ujęciem sprawy, żeśmy ich słuchali z zapartym oddechem.

Wykłady ciągnęły się do godz. 1-ej, poczem następował obiad.

Gęsiego, wydzwaniając marsza na menażkach, szliśmy do kuchni, gdzie olbrzymim nożem Kaszubski ze swoimi pomocnikami krajał mięso, nalewał zupę i rozdawał jarzyny.

Pierwsi dostawali żołnierze, potem szarże oficerskie, ostatni otrzymywał swą porcję ze wspólnego kotła — komendant.

Do 3-iej mieliśmy czas wolny, przeznaczony na czyszczenie broni, doprowadzenie do porządku uniformów i całego rynsztunku.

Potem następowała musztra.

Lato w owym roku wypadło niezwykle słotne, to też marsze na nierównym terenie, po kostki nieraz w błocie, były niezwykle uciążliwe.

Miałem wówczas możność przekonać się, że człowiek jest zdolny do znacznie większego wysiłku, niż mu się wydaje.

Nieraz, maszerując pod górę, miałem szczerą ochotę pozbyć się ciężaru tornistra i karabina, ale mówiłem sobie: „jeszcze chwilkę, jeszcze trochę!" i docierałem do wierzchołka, poczem schodzenie po zboczu wydawało mi się odpoczynkiem.

Przekonałem się także, jak regularny tryb życia, ogólna atmosfera tężyzny, słowem warunki moralne, wpływają na stan fizyczny.

Nieraz, po marszach, obłoceni i przemoczeni do nitki, by opłukać się z gliny, wchodziliśmy po pas w wartki strumień. O przebranie się w suche ubranie nie było mowy, mieliśmy jeden mundur, a jednak nikt nie dostał nawet kataru.

Po przejściu musztry formalnej: formowania kompanji, musztry bataljonowej, w której plutony imitowały kompanje, rozwijania linji tyraljerskiej, po otrzymaniu pewnego zasobu wiadomości z taktyki, odbywaliśmy ćwiczenia w polu, głównie w zakresie służby forpocztowej.

Tego rodzaju manewry, zwłaszcza gdy wchodziło w grę ostrzeliwanie kulami z „papier maché", ogromnie porywały ludzi, którzy się tak zapalali, jakby to była prawdziwa bitwa.

Ludzie zupełnie poważnie, nie szczędząc wysiłku, biegli chronić zagrożone pozycje, pełzali na czworakach, by podejść przeciwnika, byli gotowi czołgać się na brzuchu.

Po manewrach odbywało się omówienie ćwiczenia, wykazanie zalet, wytknięcie błędu.

W szkole miewaliśmy od czasu do czasu gości: odwiedził nas sędziwy Bolesław Limanowski i Aleksander Dębski z Ameryki; mieliśmy też wizytę Włodzimierza Tetmajera, który jako wojskowy, asystował przy ćwiczeniach i wydał opinję, że z nami jużby śmiało wyruszył w pole.

Dyscyplina podczas służby była wzorowa, po za służbą panował zupełnie koleżeński stosunek; szeregowcy gawędzili z komendantem, który nieraz dawał im ognia do papierosa, opowiadając nam obrazowo i zajmująco rozmaite zdarzenia i anegdoty z historji wojen.

Od godz. 7—9 następowała wieczorna zbiórka, potem odprawa oficerska.

Po 9-ej, po zameldowaniu się, wolno było wychodzić z koszar.

Celem tych wędrówek był zwykle sklepik Kółka Rolniczego, gdzie można było dostać kiełbasy, mleka, piwa i znakomitej śliwowicy.

W koszarach picie trunków było wzbronione i czasem tylko aptekarz najbardziej zaufanym z butelek, jakoby rycynowego olejku, udzielał po kieliszku przed obiadem.

Po 9-ej gromadziliśmy się w sali wykładowej i tam to rodziły się owe, dziś tak popularne, strze-

leckie piosenki, odbywał się improwizowany kabaret, w którym celował, obdarzony ładnym głosem i zdolnościami aktorskimi, nasz kuchmistrz Kaszubski.

W niedziele odbywały się odczyty treści ogólnej. Sokolnicki mówił o 31-ym roku; ja miałem odczyt o „ideologji społeczeństwa po 63-im r." I to mnie rozkonspirowało.

Koledzy, widząc moje nazwisko na tablicy, sądzili, że mam przyjechać, to też skoro wszedłem na salę, zapanowała pewna konsternacja, a po odczycie zaczęli mnie przepraszać, że żyli ze mną za pan brat. Podziękowałem im za to i prosiłem, by stosunek pozostał taki sam nadal.

Stosunek się utrzymał, ale poczęto mi wyświadczać mnóstwo usług: nieraz, gdym szedł wyczyścić karabin lub wymyć menażkę, niewiadoma ręka wyręczała mnie pod tym względem.

O pół do 11-ej wszyscy musieli być w łóżkach i w koszarach był nakazany absolutny spokój.

Na noc wystawiano warty do godz. 6-ej rano.

Odkomenderowywano do niej sześciu szeregowców pod dowództwem komendanta warty.

Dwóch kolejno, po trzy godziny każdy, pilnowało koszar i magazynu, czterech spało w ubraniu w kordegardzie.

Gdy czasem w nocy zjawił się komendant, cała warta stawała pod bronią.

By przekonać się, czy warta zna swoje obowiązki, oficerowie, a zwłaszcza major Trojanowski, używali nieraz podstępu.

Podchodzi major na hasło i raptem napada na żołnierza:

„Obywatelu, zgubiliście muszkę, pokażcie karabin".

Zmieszany wartownik oddaje broń, major wyjmuje ładunki i pod bagnetem odprowadza do kordegardy delikwenta, który nazajutrz staje przedmiotem żartów i docinków.

Wśród tych, zupełnie nowych, warunków, wśród zbrojnego, obozowego życia, budziły się w duszy uśpione pierwiastki tężyzny i męstwa, ocknęło się, niewymagające żadnych argumentów, proste, jak instynkt, poczucie, że za Ojczyznę należy walczyć i umierać.

Ten żołnierski tryb życia, kompletny rynsztunek wojenny, błysk oficerskich pałaszy — wszystko to robiło chwilami wrażenie nieprawdopodobnego snu. Wśród marszów, w udanych bitwach zapalały się młodym ogniem wypukłe nad książkami oczy, szerokiem tchnieniem rozdymały się, zdławione miejskim zaduchem, piersi, prężyły się świeżą siłą zwiędłe muskuły i hartowały rozluźnione nerwy.

By wyćwiczyć się w marszu i zrobić wrażenie na ludzi z Królestwa, po skończonym kursie taktyki, szkoła odbyła zgórą stokilometrowy marsz do Zakopanego.

Po drodze w Nowym Targu trwały trzydniowe ćwiczenia: bój arjergardy.

Nasze wkroczenie do Zakopanego w pełnym rynsztunku, z pieśnią na ustach, sprawiło silne wrażenie.

Mieliśmy tam zamiar przeprowadzić manewry: zdobywanie kolejowego wiaduktu, ale miejscowe władze sprzeciwiły się temu.

Odbył się więc jedynie bal, jakiego Zakopane nie pamięta, i odczyt komendanta na temat: „Kryzysy boju".

Zainteresowanie się militaryzmem na tyle wzrosło, że kiedy przed kilku laty komendant miał w Zakopanem odczyt podobnej treści w szczupłej sali „Sokoła", pomimo agitacji, zgromadziło się zaledwie kilkadziesiąt osób, obecnie — w największej „Morskie Oko" zabrakło miejsc.

Bal i odczyt podreperowały fundusze naszej szkoły.

W Zakopanem stołowaliśmy się gremjalnie w restauracji, prawie z podziwem patrząc na talerze, serwety i obrusy.

Podczas naszego postoju otaczały nas tłumy, a gdyśmy wyruszyli na stację, zostaliśmy obsypani kwiatami.

Przybywszy wieczorem do koszar, zastaliśmy je tak wyporządzone przez pozostawionych dla pilnowania dobytku towarzyszy, że pozdejmowaliśmy na ganku buty, by nie błocić wyszorowanej do białości podłogi.

W drugim okresie szkoły zakładaliśmy miny, fugasy i detonowaliśmy bomby.

Z powodu szalonych deszczów jedna mina zamokła i nie wybuchła.

Poszli ją wykopywać dwaj oficerowie, którzy na balu asystowali jednej pannie i postanowili, jeżeli zginąć to razem: mina jednak została wydobyta bez wypadku.

Potem zajęliśmy się budowaniem linji obronnej.

Kawałek wygonu otoczono drutem kolczastym porobiliśmy „wilcze doły" i wznieśliśmy wspaniałe okopy.

Komendant, oglądając nasze pozycje, pochwalił robotę i zauważył, że tak bezpieczne okopy żołnierz niechętnie opuszcza, by iść naprzód. Takiem okopywaniem odznaczali się Moskale podczas wojny japońskiej, w której cały czas byli w defenzywie.

Japończycy, posuwający się naprzód, wznosili lekkie nasypy.

— Pamiętajcie o tem — dodał. — że najczęściej atakujący zwycięża, bo inicjatywę bierze w swoje ręce.

Budowanie okopów, które znajdowały się o pół kilometra od koszar, kosztowało nas dużo pracy. Ustawiczne deszcze psuły robotę i rano trzeba było wyczerpywać wodę za pomocą wiader i menażek.

Na kilka dni przed ukończeniem szkoły i udaniem się do Krakowa na kurs strzelania, miałem sposobność się przekonać, że rację miał nasz oficer inspekcyjny, który pilnował, by wszystko znajdowało się w odpowiedniem miejscu i buty stały „nosek do noska".

Około godz. 2-iej w nocy zbudziły nas strzały warty i sygnały trąbki alarmowej.

Zanim zdołano zaświecić światło, znalazłem odrazu wszystko poomacku. Poczęliśmy się na gwałt ubierać i wkrótce w pełnym rynsztunku znaleźliśmy się przed koszarami.

„Wróg atakuje nasze okopy" — brzmiał meldunek — idziemy na odsiecz marszem nocnym, t. j. możliwie cicho.

Niezbyt nam się udawało z powodu nierówności terenu i ciemnej nocy, niektórzy nawet zaświecili elektryczne latarki, które natychmiast zgasił surowy rozkaz oficera.

Gdyśmy znaleźli się w okopach i wysłali naprzód patrole, rozległy się strzały i okazało się, że jeden pluton został wysłany naprzód, by markować wroga.

Błysk strzału w nocy czyni wrażenie świętojańskiego robaczka.

Wróg atakował prawe skrzydło, które poczęło się odstrzeliwać.

Nasze — lewe, choć świerzbiała ręka, musiało zachowywać się spokojnie.

Naogół alarm nocny udał się dobrze.

Komendant był przekonany, że będziemy się guzdrać pół godziny, a myśmy byli gotowi do marszu w dziewięć minut i wytrzymaliśmy też dyscyplinę ognia.

W ostatnich kilku dniach rozwiązywaliśmy taktyczne zadania na piśmie, wykończaliśmy swe dzienniki, a podczas marszów poszczególni żołnierze dla wprawy obejmowali komendę.

W przeddzień wyjazdu odbyła się pożegnalna kolacja w sali wykładowej.

Sala przedstawiała piękny dla nas i oryginalny widok: była ubrana zielenią i wojennym rynsztunkiem. Nad środkiem ławy, gdzie miał siedzieć komendant, widniał czerwony sztandar z orłem białym i błyszczały dwa skrzyżowane pałasze.

Ponieważ ani razu nie stałem pod karabinem, oficerowie dowodzili, że muszę i tej rozkoszy użyć i chcieli w ostatnim dniu na jakimś wykroczeniu mnie złapać.

Wreszcie major Trojanowski przed samą kolacją, widząc, że stoję na straży butelek, spytał mnie surowo, ile jest?

— Za mało! — odparłem i tą odpowiedzią, która wywołała wybuch śmiechu towarzyszy, wykręciłem się od odpowiedzialności.

Na początku uczty zapanował podniosły nastrój.

Dziękowaliśmy komendantowi, że nam, rozbitkom rewolucji, którym zaczęły nadgryzać zwątpienia, spowodowane klęską, uleczył nową ideją dusze, wrócił zdrowie nadwątlonym ciałom, nauczył nowych cnót waleczności i męstwa, przyrzekaliśmy mu wierność i posłuszeństwo.

Komendant odpowiadał, charakteryzując poszczególne plutony — nasz królewiacki nazwał najbardziej ofiarnym.

Potem panowała wesołość; śpiewy i gawędy przeciągnęły się do późna w nocy.

Nazajutrz, podczas ostatniej zbiórki, komendant kazał naszemu plutonowi dać salwę pożegnalną wzgórzom, polom, łąkom i strumieniom Stróży.

Buchnęły strzały i rozpiętrzone kule papierowe, jak płatki kwiatów, rozsypały się nad naszemi głowami.

Ruszyliśmy na stację do Tymbarku, by wrócić do zwykłego toku życia po cudnych, niezapomnianych nigdy dniach, jasnych dla duszy i utrwalonych, jak pasmo światła, w pamięci....

Po roku znaleźliśmy się w szeregach, idących w prawdziwy bój, i — jakby dziwnym zbiegiem okoliczności — w okolicach szkoły I Brygada stoczyła zwycięską bitwę z Moskalami.

Uczniowie szkoły noszą w legjonach miano Stróżańczyków, cieszą się dobrą opinją i są traktowani, jako kandydaci na oficerskie stopnie".

Gustaw Daniłowski.

Modlitwa Legjonisty-Zesłańca.

Kiedyś, gdy byłem dzieckiem jeszcze małem,
Mówiła mi matka o Tobie Boże
I ja Cię wówczas tak strasznie kochałem,
że większej miłości chyba być nie może!
W dziecięcej wierze słałem korne modły,
Tarzałem się, wiłem się u nóg Twoich,
Prosiłem, by mię chociaż raz powiodły
Orły bojowe chrobrych ojców moich. —
Dziś, ja Cię błagać będę nie prośbami,
Nie zasyłaniem w niebo zbożnych pieni,
Daleś mi tyle — więc Twemi łaskami
Biję do Ciebie tu z sybirskiej ziemi. —

Ja Cię zaklinam Boże, ja Cię proszę
Śmiercią mej matki, śmiercią mego ojca —
Wśród takich modłów ku Tobie podnoszę
Piersi zranione z niewoli ogrojca. —
Ty wiesz czego żądam, wiesz o co Cię błagam,
Gdy przed oblicze Twoje śląc to pienie
Ani się waham, ani się nie wzdragam
Poruszyć nawet mych rodziców cienie!
Pamiętasz, na śmierć ich nie rzekłem ni słowa,
Bom walczył wtedy i pierś moją młodą
Parł na bagnety; choć mi pieśń grobowa
Szumiała każdym borem, rzeki wodą,
Ja nic nie rzekłem; chociaż serce wyło,
Chociaż mi piersi przebił pocisk wroga,
Nic nie mówiłem; by się wypełniło —
Dałeś niewolę! Dziś błagam Cię — Boga
Powróć mi wolność, pozwól niechaj zginę,
Wszak Tyś pozwolił by syn Twój odkupił
Śmiercią krzyżową ludzkość! Niech nie minie
Mię pierwsza kula, którą wróg wyrzuci
Na me spotkanie, niech pierś mą przebije
Wrażych bagnetów sto, porwieją w strzępy,
Niech ciało moje pod ziemią nie gnije
I niechaj pożrą je w kawałach sępy,
Lecz daj mi wolność! — za tyle cierpienia
Jam godny tego. — Cóż od Ciebie żądam?
Bronić ojczyzny póki starczy tchnienia
Mam prawo, bom jej syn i jej życie oddam.
Ty mi to dać musisz i dasz Boże!...
Nie chcesz? — Więc zabij i ciało i duszę
Niech zginę, lecz niech się więcej nie morzę,
Zabij i ukróć te wściekłe katusze!
I tego nie chcesz? Więc bez Twojej woli
Ja w bój powrócę, tu zostawię ciało
Duchem wzlecę i wyrwę co mię boli
Rozedrę serce by więcej nie drgało,
Lecz w boju będę! I choćbyś mię raził
Piorunem swoje potężnej wielkości,
Choćbyś mą duszę potępieniem skaził
Ja w bój powrócę, bom żołnierz wolności!

Irkuck, dnia 13 lutego 1917 r.

Tad. Chełmecki.

Dr. JAN ROGOWSKI.

W szkole podoficerskiej Legjonów w Kamieńsku

VII.

Siedzibą szkoły był początkowo Nowo Radomsk, potem Kamieńsk. Karabiny mamy greckie, systemu Manlicher — Schöndyer.

Zakończenie.

Ze szkoły podoficerskiej w Kamieńsku wyszedł szereg dzielnych żołnierzy Legjonów Polskich. Wielu z nich jako podoficerowie 1 pułku, 4-go i 5-go — padło bohaterską śmiercią na polu bitwy.

Cześć ich pamięci!

Inni w ciężkiej i twardej służbie zdobyli szlify oficerskie — i dzisiaj pełnią służbę w szeregach narodowej armji.

Szkoła Podoficerska Legjonów Polskich w Kamieńsku spełniła swoje zadanie — i była prawdziwą szkołą służby obywatelskiej wysoko pojętej.

I dlatego w wspomnieniach wychowanków tej szkoły zajmuje ona miejsce zaszczytne; zawsze świeci jasnym, silnym promieniem młodzieńczego zapału i ofiarnej, pięknej służby.

Z pieśnią na ustach opuszczaliśmy progi naszej szkoły. Wśród wielu innych ta oto pieśń żołnierzy-rewolucjonistów dumnie rozbrzmiewała na polach Kamieńska.

Niech wokoło zabrzmi pieśń zwycięska,
My za wolność idziemy na bój,
Do twierdz przypuścim szturm,
Do więzień i do turm,
Na bój, na bój, na krwawy bój,
Hej! ludu zbrój się, zbrój!

Nas nie zgnębią Mejery, Skałłony,
Choć za rzezią sprawiają nam rzeź.
Ludu — sztandar w górę wnieś czerwony,
Ludu! sztandar bojowy swój wnieś!

Hej! na wszystkich ulicach Warszawy
Bagnet carski wytaczał z nas krew.
My wolność sprawimy chrzest krwawy,
Katom, zbirom, zanucimy ten śpiew.

Za te zbrodnie żołdowe, kozacze,
Za tę chytrość zbójeckich tych hord,
Odpowiecie przed ludem siepacze,
Odpowiecie za rzeź i za mord!

Tłum bezbronny na placu rąbano,
Hord zbójeckich rozpasał się szał,
Lecz nie cieszcie się waszą wygraną
Wstanie mściciel z tej krwi i z tych ciał

Na bój, na bój, na krwawy bój,
Hej! ludu, zbrój się, zbrój!

STANISŁAWA SOZAŃSKA.

Z przeżyć na Pokuciu
1914 — 1919 r.

VII.

W pierwszej połowie marca 1919 r. kiedy odbywałam moją codzienną inspekcję w Bursie zakomunikował mi p. Malik, nauczyciel z Tołszczowa (późniejszy poseł piastowy), że żołnierz z komendy miasta przyprowadził internowanego, który opowiada cuda o naszych bojach pod Lwowem; — spytałam najpierw kto podpisał w książce odbór internowanego, — to ja, bzmiała odpowiedź. — Zwróciłam mu uwagę, żeby tego nie robił bez mej wiedzy, p. Malik tłumaczył się, że u nas w domu było już ciemno. — Świadkiem naszej rozmowy był niejaki Weber, student Polit. lwowskiej. Wtrącił się do rozmowy, że ów internowany mówi, iż za kilka dni będą nasi w Kołomyji .

Ogromnie zainteresowana osobnikiem poprosiłam Webera, by go sprowadził do mnie. Po chwili zbiegł z góry młodzieniec może 22 letni blondyn o siwych oczach przywitał się, no i zapytany opowiadał dość barwnie o przebiegu operacyj wojennej na froncie pod Lwowem, entuzjazmował się opowiadaniem koloryzując fakta coraz bardziej w miarę jak go słuchałam. — Dziwnie coś nie wierzyłam i spytałam dlaczego nie poszedł tam będąc tak blisko frontu, lecz narażał się na większą niepewność wracając tu do nas? odpowiedział, że właśnie kiedy miał przejść ukrytą drogą leśną nadjechało kilka pułków ukraińskiego wojska i dlatego wrócił. W toku jego opowiadań zrobił kilka błędów takich, że zwróciło moją uwagę i spytałam: „a skąd pan pochodzi?" zamiast odpowiedzi zapytał się mnie dlaczego oto pytam? — bo pan robi błędy, wówczas dopiero odrzekł, że pochodzi z Czerniowiec, a na Bukowinie słabo mówią po polsku. — Zatem na razie w porządku — a jak się pan nazywa, gdzie legitymacja? bo każdy z internowanych w Bursie dostawał osobistą legitymację i z takową zgłaszał się co tygodnia w komendzie miasta. Wszystko możliwe — więc mówię: „pan się zbierze i pójdzie zemną do komendy, bo tu nieśmie nikt być bez identyczności, jest kontrola i w każdej chwili poszliby wszyscy na Kosaczów. Jeszcze raz powtórzyłam by się zebrał, a ja miałam wnet wrócić. Skierowałam kroki ku wyjściu w tem podszedł do mnie ten Rybicki z prośbą i szeptał, bym mu dała przepustkę, bo chciałby się dostać znów przez Rumunję do Krakowa — zdziwiona popatrzyłam na niego i spytałam: „któż to powiedział? ja żadnych przepustek niemam, jak tylko na przewóz prowiantów.

Nazywam się Rybicki, — zaś legitymacji nie dali.

W domu ubrałam płaszcz i po 10 minutach byłam znów w Bursie, lecz Rybickiego nie było. Malik wraz z innymi przeszedł wszystkie ubikacje nadaremnie — znikł bez śladu.

Zmartwiłam się mocno, sądząc, że chłopak nastraszył się komendy. — Kazałam przez kilka dni dokładnie przeglądać wykazy internowanych na Kosaczowie w obawie, że go ukraińcy złapią, nie było go nigdzie, przepadł bez wieści. Każdy dzień przyniósł coś nowego nie można było długo zajmować się jedną sprawą. Trzeciego dnia popołudniu wzywał mnie Komitet i komenda do miasta, bym się stawiła o godzinie 3-ciej w Kosaczowie, bo tam będzie znów delegacja Czerwonego Krzyża kilku państw.

Udałam się do p. Miziewiczowej i razem z nią sankami zajechaliśmy do „taboru". Komendant Halibej już czekał wraz z innymi, a mianowicie: był tam minister Makuch, Dr. Fuke, Szwajcar, jakiś oficer rosyjski, Dr. Petruszewicz no i komendant taboru niejaki Gdula. Na przyjazd owej delegacji wyłożono drogi od jednego baraku do drugiego deskami, bo przy odwilży było błoto po kostki, które spływało od czasu do czasu do studni z której internowani czerpali wody do picia. Wchodzimy do dużego baraku, który niedawno urządzono t. j. w dawnej stajni dla bydła dano prycze, to jest pomieszczenie dla chorych dla których już brak miejsca w szpitalach. Biedacy leżeli na gołych deskach przykryte jakimś łachmanem, niektórzy mają odrobinę słomy pod krzyżami.

Przechodzimy przez barak wśród jęku i płaczu i my wszyscy nie możemy się wstrzymać od łez a Dr. z Szwajcarji wciąż powtarza „das ist schräklich, das ist schräklich". Przechodzimy do drugiej tak zwanej izby — tu leży 11 letni Kowalski niby jeniec, którego zabrali ukraińcy z pozycji we Lwowie, niósł obiad swemu bratu Zobaczywszy mnie, wyciągał do mnie swe wynędzniałe rączęta z prośbą, bym go wzięła do Bursy ale zaraz, dziecko było prawie w agonji — przewodnicząca Miziewiczowa, która mało bywała w Kosaczowie teraz w głos się rozpłakała a z nią wszyscy obecni nawet Halibej. Miałam go wziąść zaraz następnego dnia, lecz już tej samej nocy uleciała dusza niewinnego dziecka ze skargą

do Boga, zostawiając swym katom udręczone ciałko.

Teraz idziemy do kucheńki szpitalnej — na środku stoi piecyk żelazny a na nim garnek w którym to gotuje się rosół z cielęciny przez Komitet kupionej, a biedna sanitarjuszka Polka jest zarazem kucharką, w kącie stoi kilka flaszek z mlekiem kondesowanem, ofiarowanych przez Kółko rolnicze w Kołomyji, tam znów, kopa jaj darowanych z kolonji mazurskiej „Św. Józef". — Pokazujemy wszystko gościom z Czerwonego Krzyża w obecności komendantów i ministra Makucha, pyta ów Dr. Szwajcar: und was gibt eigentlich das Erar? pan Gdula wskazuje na kilka bochenków chleba czarnego jak ziemia. Doktór pokiwał głową.

Wychodzimy by pójść dalej do baraku jeńców — tam i ja nigdy nie byłam — Ukraińcy nie wpuszczali nikogo. Barak jeńców leżał po przeciwnej stronie taboru. Doktor znów pyta, a jakie fundusze mamy i skąd? nato Makuch odpowiada, że Ukraina dała niedawno 50 tysięcy Koron — zdecydowane na wszystko — zaprzeczyliśmy ja i Miziewiczowa, wszak Ukraina dała tylko pozwolenie na zaciągnięcie pożyczki w banku w Stanisławowie, ręczyły zaś panie, które miały realności.

Wchodzimy, tuż przy drzwiach w baraku bez żadnego pieca leży umierający z pianą na ustach tam dalej na gołych deskach przykryty płaszczem jęczy z bolu — tam znów siedzi dwóch młodych chłopców bez koszuli, spodenki podarte, uwiązane na sznurkach, owinięci jednym strasznie zawszonym kocem, a na głowach korona cierniowa z brudnej mokrej szmaty. Jeden z nich prosi by donieść ojcu, który zapewne da cały majątek, by go ocalić, jest właścicielem Drukarni Ludowej w Krakowie, nazywa się Sziff — nazwisko tej ofiary pamiętam dobrze, bo wieczorem napisałam list, lecz gdzie on się podział nie wiem. — Wyszliśmy wszyscy, nawet ci ukraińcy byli pod wrażeniem widoku takich rzeczy jakich historja dotąd nie znała. — Mieliśmy pójść jeszcze do innych baraków. Obok mnie szedł Gdula, obecny komendant Kosaczowa, człowiek dobry i ludzki, ale sam się wstydził za te wszystkie zbrodnie, a ponieważ ja jako codzienny świadek tych tragedji informowałam misję i wskazywałam na wszystko, wziął mnie za rękę i prosił, mówiąc: „pani Dobrodijko ne howorit tak bohato?" Kiedy około godziny 6-tej chcieli odjechać zaprosiłam wszystkich do Bursy, by się przypatrzyli jak wyglądają tam internowani, zdrowi i chorzy w szpitaliku, którzy są utrzymani tylko kosztem Komitetu. Chętnie się zgodzili. Gdy weszli, kazałam podać gorącą herbatę a później dopiero nastąpiło oglądanie. Pokoje czyste, ciepłe, a na każdem łóżku siennik ze słomą i takaż poduszka. W każdej salce u sufitu rozciągnięte cienkie sznurki, a na nich wisiały czyste łachmanki, niby bielizna — praczka prała cały tydzień, codziennie dla innej sali a wieczór oddawała każdemu z internowanych jego własność. Wyrazili mi uznanie, bo ja byłam i w Bursie gospodynią od porządków w salach i rozmieszczania internowanych.

Również w szpitaliku był porządek a sanitarjuszki pp. Felicja i Józefa Janusiewiczówne opiekowały się zupełnie bezinteresownie idealnie.

Odznaki legjonowe 1914—1918.

Po piekle Kosaczowskiem zdawało się wszystkim, że to raj na ziemi. Pani Miziewiczowa odjechała razem z misją a ja zostałam, bo obok Bursy było moje mieszkanie. Kiedy Halibej żegnał się ze mną, podał rękę ze słowami: „za toto wsio distanete kaminiom". Po powrocie do domu wciąż wracałam myślą do tych słów lecz nie mogłam je zrozumieć — wkrótce zagadka została rozwiązana. Dnia 17 marca 1919 roku podczas posiedzenia u p. Miziewiczowej przyszedł członek organizacji i oznajmił, że Ukraińcy przywieźli Jakóba i Kajetana Agopsowiczów z Popielnik i żyda karczmarza, nazwiska nie pamiętam, ks. Staufera

i sędziego Boguckiego ze Zabłotowa. Mając takie wiadomości, byłam pewna, że Ukraińcy są na tropie i przyjdą po mnie, siedziałam jeszcze chwilę, i udałam się do domu, by tam wszystko uporządkować. Poprosiłam internowanego, który u mnie mieszkał, pana Edwarda Rolińskiego z Tolszczowa (dziś inspektor dóbr państw. w Poznaniu), by poprosił int. Grudzińskiego Juljana (dziś maj. W. P. w Warszawie). I tak we trójkę siedzieliśmy prawie całą noc, by uporządkować kwity, rachunki i zapiski, upozorowałam pracę tę konieczności oddania do szkontrum. Rano wstałam zmęczona i zdenerwowana wyczekując aresztowania. Po objedzie z uporządkowanemi papierami i notatkami udałam się do pani Miziewiczowej oddając moje notatki pannie Gertuni Mann. Rozpoczęło się posiedzenie. Wtem wpada siostrzeniec ówczesnej skarbniczki p. Niewiadomskiej Zofji (bo Jasińska umarła) z płaczem, że Ukraińcy przeprowadzają rewizję. Wszystkie panie ruszyły się z miejsc a ja jeszcze siedziałam; teraz byłam pewna, że Ukraińcy są na tropie. Wtem wchodzi inżynier kolejowy ze Stanisławowa Kupiński, internowany z Bursy i prosi bym prędko poszła do domu, bo tam jest rewizja a mąż mój aresztowany.

Już po drodze do domu na ulicy Staromiejskiej, dziś Sienkiewicza, spotkałam męża prowadzonego pod bagnetami. Udając, że nie wiem o co chodzi, mówię „co się stało za co jesteś aresztowany.?" Na to odpowiada mi żołnierz: „I wy także aresztowani, ale jak majete szczoś doma zaorudowaty, to tam sia patrola łyszyła". W jednej chwili błysnęła mi myśl, że lepiej pójść odrazu, zawróciłam z drogi i zamiast do domu poszłam do więzienia. Córka moja Wanda szła z apteki wraz z Rogowskim, ona bowiem objęła opiekę nad szpitalikiem, bo św p. Drewnicka właśnie leżała chora. Rogowski już nie wrócił do Bursy, zabrali go również do więzienia, 20 marca 1919 roku.

JAN STAROŚCIAK.

Z dywizją polską na Syberji.

Bezustanne boje wyczerpały nasze siły, zaś pod względem wyglądu zewnętrznego każdy z nas w podartych mundurach, a raczej w łachmanach, podobny był raczej do rozbójnika leśnego, niż do żołnierza armji regularnej. Rumsza, widząc, że w obecnem stadjum do prowadzenia jakiejkolwiek akcji wojennej nie jesteśmy zdolni, podczas naszego pobytu w Mnijarach nawiązał kontakt z ówczesnym dyktatorem rządu syberyjskiego, admirałem Kołczakiem, pertraktując z nim celem przeniesienia nas do głównych sił polskich do Nowonikołajewska dla przeprowadzenia reorganizacji.

Admirał Kołczak, wiedząc, że na froncie może bardziej polegać na nas, niż na swoich wojskach, z początku odmówił stanowczo naszym żądaniom, a gdy w dalszym ciągu obstawaliśmy przy swojem, zaznaczając, że bić się nie będziemy — ten ostatni oświadczył, że o ile samoczynnie opuścimy front, rozkaże nas niezwłocznie rozbroić i internować.

Dopiero Rumsza, który udał się osobiście do Omska — stolicy rządu Kołczaka — uzyskał zgodę na nasz wyjazd do Nowonikołajewska. W kwietniu 1919 r. zaraz po otrzymaniu zezwolenia na opuszczenie dotychczasowego miejsca pobytu — oddawszy poprzednio Minjary wojskom rosyjskim, wyruszyliśmy koleją do Nowonikołajewska.

Podczas naszej podróży, niedowierzając zbytnio tu i ówdzie stojącym po stacjach wojskom rosyjskim, patrzącym z zawiścią na nasze armaty oraz zdobycze wojenne — trzymaliśmy stale ostre pogotowie, a nie chcąc zaś drażnić ich nerwy widokiem naszego dobytku — przewoziliśmy to w sianie.

Każdy z nas, wstępując w szeregi wojska polskiego, składał odpowiednią deklarację, że obowiązuje się służyć wyłącznie sprawie ojczystej, do walki z Niemcami, zaś do spraw wewnętrznych Rosji zupełnie się nie mieszać, mając jedynie cel zbrojnego organizowania się i powrotu do kraju, a tylko w wypadkach, gdyby wróg jakiś zastąpił nam drogę — torować sobie takową bronią.

Mając inne cele, a widząc, że zamiast myśleć o powrocie do kraju, używani jesteśmy wyłącznie do starć z bolszewikami, które według ówczesnego naszego zdania na sprawę polską wpływu nie mają, jeszcze po bitwie pod Bajrakami, wycieńczeni trudami wojennymi, zadaliśmy Rumszy pytanie: „dokąd będziemy staczali te bezcelowe walki, wycieńczające siły żołnierza polskiego, które bądź co bądź mogą się przydać sprawie ojczystej".

W odpowiedzi na naszą interpelację, Rumsza, który w Rosji imperjalistycznej widział swoją ojczyznę, odrzekł, że my jako żołnierze mamy słuchać jego rozkazów, jakiekolwiek by one nie były, zaś walczyć będziemy dopóty z naszego oddziału nie polegnie ostatni żołnierz.

Otrzymawszy tak wiele obiecującą odpowiedź, oznajmiliśmy kategorycznie, że więcej bić

się nie będziemy, motywując swe stanowisko tem, że pomagać naszemu wrogowi, Rosji, nie będziemy oraz, że obecne stosunki są przeciwne złożonym przez nas deklaracjom.

Rumsza, widząc, że sprawa poczyna się zaostrzać, uciekł ze swym sztabem oraz garstką ułanów na stację kolejową, skąd prowadził z nami pertraktacje. Przekonawszy się, że od powziętego planu nie odstąpimy, Rumsza zapytał nas przez swych parlametarzy, co zamierzamy uczynić, — a otrzymawszy odpowiedź, że udamy się do bolszewików w nadziei, iż oni przepuszczą nas do kraju — zagroził nam, że wyśle na nas pułk kozaków, każe nas rozbroić a następnie pomyśli nad sądem i karą.

My ze swej strony wiedząc, że Rumsza jest do wszystkiego zdolny, trzymaliśmy przez cały czas naszego konfliktu ostre pogotowie a doskonale uzbrojeni, przygotowaliśmy się, by w razie zapowiedzianego napadu ze strony kozaków, odpowiednio ich przyjąć.

Prawdę rzekłszy, kozaków nie bardzo obawialiśmy się, wiedząc, że ci znając nasze męstwo są naszymi zwolennikami, przeto nigdy nie poważą się na atakowanie nas, a w najgorszym wypadku pozostawało nam jeszcze przejście pod rozkazy gen. Kappela, który ceniąc wysoko naszą odwagę i zalety żołnierskie okazane podczas poprzednich walk z bolszewikami, stanąłby zawsze w naszej obronie i przyjąłby nas do siebie z otwartemi rękoma.

Gdy i groźby Rumszy spełzły na niczem, postanowił on użyć za pośrednika osoby bardziej wpływowej i stojącej poza wojskiem i sprowadził z Ufy księdza Zdanowicza, który słynął wśród tamtejszych Polaków, jako człowiek o wysokich zaletach ducha.

Ks. Zdanowicz przybył do nas i w najbliższą niedzielę po odprawionej mszy polowej wygłosił do nas płomienne, pełne patrjotycznych zwrotów kazanie, poczem przystąpił do akcji pogodzenia obu stron.

Rezultatem tego było zrozumienie naszych słusznych żądań wobec czego doszliśmy do porozumienia na punkcie, że więcej z bolszewikami bić się nie będziemy, lecz maszerować w kierunku Ufy, by przez wschód wydostać się do Polski. Wszelką natomiast przeszkodę stawianą nam przez bolszewików w czasie naszego odwrotu zobowiązaliśmy się zwalczać orężem, broniąc tak siebie jak i zdobyczy wojennych. Ten punkt naszego widzenia został zrozumiany i zaakceptowany przez Rumszę, który dał nam uroczyste słowo honoru, że w niczem nie przekroczy obecnie przyjętych zasad.

Rumsza przyznając nam rację, dodał, żebyśmy czynili co chcemy, lecz nie szli do bolszewików, gdyż ci nigdy nas nie przepuszczą do Polski. — W wypadku tym miał on zupełną słuszność.

Na następny dzień realizując powzięte decyzje, wyruszyliśmy w stronę Ufy. Tu i ówdzie zastępywały nam drogę oddziały czerwonej armji; biliśmy się ale zażarcie, rozbijając w puch każdorazowo wszelkie wataby napastników.

W połowie listopada po niezliczonych zwycięskich utarczkach z zastępującym nam drogę nieprzyjacielem, przybyliśmy do Ufy.

Miasto było prawie puste. Większość ludności cywilnej, przeważnie inteligencja, świat przemysłowy oraz urzędy państwowe, uchodziły za cofającemi się wojskami rządowemi w stronę Syberji. Pozostała ludność należąca do sfery robotniczej, przedstawiała męty bolszewickie, patrzące na nas z pode łba.

Po jednodniowym pobycie w Ufie wymaszerowaliśmy w stronę Uralu. Straż tylną stanowiły oddziały gen. Kappela, staczając podczas ogólnego już odwrotu bezustanne, zacięte boje z nacierającym nieprzyjacielem.

Po przybyciu naszym do XI-tej kolonji niemieckiej, wojska bolszewickie podszedłszy pod wieś, w której były rozmieszczone nasze oddziały, nie wszczynając akcji zaczepnej, wysłały swych emisarjuszy, którzy zdoławszy się wśliznąć pomiędzy nas i skomunikować z I-ym bataljonem naszego pułku, gdzie mieli swych współpracowników, poczęli niezwłocznie agitować za naszem przejściem na ich stronę.

O powyższym fakcie nie wiedzieliśmy nic, — dowiedzieliśmy się o tem później — lecz wówczas tylko rozeszła się wśród nas głucha wieść, że bolszewicy w razie przejścia na ich stronę i zaniechania dalszych walk, gwarantują nam przejście z bronią w ręku przez Rosję do Polski.

Łatwo sobie wyobrazić, że tajemnicze pogłoski dały powód do rozmów i dyskusji na przeróżne tematy, jednakże pisząc to, nie przypominam sobie, by z pośród naszego grona padło chociaż jedno słowo zgody.

Gdy wieść o tem doszła do uszu Rumszy, ten chcąc zapobiec ewentualnemu daniu posłuchu agitatorom, zarządził natychmiastowy wymarsz ze wsi, co widząc emisarjusze bolszewiccy oraz wiedząc, że plan ich spełz na niczem, zabrawszy swych zauszników, których czekała słuszna kara, czemprędzej się ulotnili do swoich.

Następny nasz postój miał miejsce w pewnej wsi tatrskiej, gdzie stały 25-ty pułk syberyjski oddział armji gen. Kappela oraz desant francuski. Ci ostatni wysłani byli, zdaje się, na paradę, gdyż podczas drogi do wspomnianej wsi kilkunastu ich zamarzło, zaś ogólnie licząc, o ile sobie przypominam nigdzie w czasie tylu bitew nie widziałem ich w walce.

Po przybyciu na miejsce, Rumsza mając za sobą pokaźną siłę wojsk sprzymierzonych, zapragnął dać odstraszający przykład naszym żołnierzom.

W tym celu po zwołaniu na radę oficerów, zaimprowizował na prędce sąd polowy, będąc zaś jego przywódcą wydał wyrok śmierci na czterech Bogu ducha winnych naszych żołnierzy, gdyż faktyczni winowajcy przeszli na stronę nieprzyjaciela.

Cały nasz pułk podczas siarczystego mrozu uszykowano w czworobok nad małą rzeczułką, zwołano tatarów do wykopania czterech mogił i przyprowadzono skazańców, którzy zaklinali się na wszystko w świecie, że są niewinni.

Prośba ich o ułaskawienie została odrzucona. Delikwentów chciano przywiązać do postawionych poprzednio słupów i zawiązać im oczy, lecz ci oświadczyli odważnie, że ginąc niewinnie, mogą śmiało spojrzeć w oblicze śmierci.

Egzekucję spełniło ośmiu żołnierzy 1-go bataljonu. Przed samą salwą skazańcy zwracając się do nas — świadków tego ponurego widowiska — wyprostowani, potężnym głosem oświadczyli, że giną niewinnie, następnie zaś wznieśli okrzyk „niech żyje Polska, a krew nasza niewinnie przelana, niech spadnie na naszego kata i pomści naszą śmierć!"

Z ośmiu karabinów padły trzy strzały, kładąc trupem jednego skazańca, reszta karabinów nie działała z powodu mrozu. Po drugiej salwie padł jeden strzał, lecz bez skutku, dopiero za trzecim razem, chociaż nie wszystkie karabiny dały ognia, padło dwóch nieżywych — trzeci ranny w ramię.

Moment ten, był dla nas wszystkich nadzwyczaj bolesny, nie mogliśmy patrzeć na powolną śmierć tych niewinnych ludzi z rąk swych braci.

Przywołany lekarz, skonstatował śmierć u trzech. Oficerowie, sympatycy Rumszy, kazali nam dobić czwartego, który leżąc przytomny, błagalnemi, załzawionemi oczyma prosił o darowanie mu życia. Wszyscy odmówiliśmy dobijania rannego, oświadczając, że ten, kto go skazał na śmierć — niech go dobija. Wówczas jeden z żołnierzy oddał strzał, przecinając pasmo życia ostatniej ofiary.

Trupy nieszczęśliwych wrzucono do przygotowanych grobów, które na rozkaz Rumszy zostały zrównane z ziemią bez śladu.

I tak zginęli niewinnie ci ludzie, a rodziny tych nieszczęśliwców oczekujące w ojczyźnie ich powrotu nie wiedzą może do dnia dzisiejszego, że ich najbliżsi spoczywają snem wiecznym pod obcą — tak ciężką dla Polaków — ziemią syberyjską, a w nagrodę za swe trudy i znoje nie posiadają nawet nagrobka lub krzyża.

Bolszewicy dowiedziawszy się o powyższym fakcie oraz panującej wśród nas z tego powodu konsternacji, pragnąc tę chwilę wykorzystać, skierowali niezwłocznie atak na naszą wieś.

Do walki stanęły 25-ty i 27-my pułk armji adm. Kołczaka oraz bitne oddziały gen. Kapella — mystanowiliśmy rezerwę.

Wojska francuskie opuściły wieś, starając się pozostawić front jak najdalej przed sobą.

Wojska sowieckie kilkakroć razy silniejsze, rzuciły do walki wszystkie swoje siły naraz, tak, że już po godzinnej wymianie strzałów, wojska rządowe poczęły bądź tłumnie przechodzić w stronę przeciwnika, bądź też rzucając broń uciekali do tyłów w największym nieładzie.

Oddziały gen. Kapella, aczkolwiek dzielnie się trzymające podczas przebiegu bitwy, nagle pozbawione pomocy, odrazu poczęły również chwiać się na swych stanowiskach, zaś następnie nie mogąc zdzierżyć natarczywych ataków przeciwnika, poczęły odstępować ostrzeliwując się na cierającemu nieprzyjacielowi.

Wojska nasze widząc co się święci, zastąpiły w pierwszej chwili drogę uciekającym w nieładzie bandom wojsk rządowych, pragnąc je powstrzymać, by wspólnie wyruszyć na czerwonych, lecz gdy akcja nasza w tym kierunku spotkała się ze zbrojnym oporem tych ostatnich — zmuszeni byliśmy skierować ogień swych karabinów na te wataby. — Sposobem tym, niezdołaliśmy ich wprawdzie powstrzymać, ale daliśmy im odpowiednią naukę, żeby w przyszłości nie decydowali się na podobne ekcesy.

W chwili następnej natarli ze straszliwym impetem, my zaś rozwinęliśmy linję bojową i przy pomocy artylerji oraz oddziałów gen. Kappela jakoteż licznych naszych kulomiotów otworzyliśmy powtórną bitwę — rezultatem czego było powstrzymanie natarcia bolszewików.

Bitwa trwała do godz. 4-ej popołudniu, bolszewicy, poniósłszy wielkie straty, zmuszeni byli się cofnąć my zaś poniósłwszy nieznaczny uszczerbek skierowaliśmy się również do odwrotu.

Po trzech dniach bezustannego cofania się, dotarliśmy do wsi Bykowo, położonej od samem pasmem gór uralskich.

Mróz dochodzący do 38° dokuczał straszliwie, zwłaszcza wojskom rosyjskim, które były nad wyraz licho odziane.

Cofając się w dalszym ciągu, dotarliśmy do wsi położonej już na Uralu, gdzie spędziliśmy nowy rok 1919-ty stosunkowo jak na ówczesne stosunki dobrze, mając podostatkiem pożywienie, a nawet dość wódki.

Po jednodniowym pobycie we wspomnianej wsi, na dzień następny wyruszyliśmy w dalszą drogę w stronę linji kolei żelaznej, a posuwając się dalej, po trzydniowym marszu malowniczemi

górami, doszliśmy do miejscowości Minjary — gdzie mieliśmy pozostać w leże zimowe.

Osada Minjary, pod względem zabudowań przypomina większą wieś. Ludność tamtejsza złożona z samych robotników fabrycznych — albowiem Minjary są miejscem pokaźnej kopalni i odlewania żelaza i stali — była na wskroś bolszewicką i utrzymywała stały kontakt z armją sowiecką.

Wojska nasze stanowiące jedyną załogę w tej niepewnej miejscowości musiały bezustannie być w pogotowiu w słusznej obawie zdrady ze strony miejscowej ludności a nawet ewentualnego napadu czerwonych.

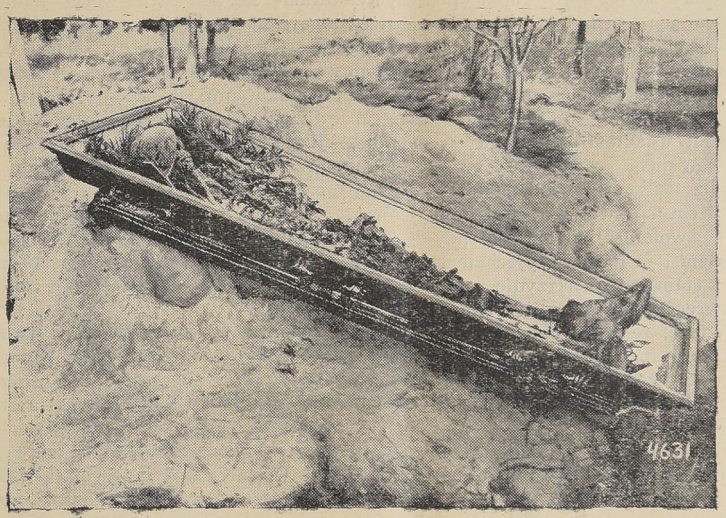

Szczątki zwłoki śp. por. Jana Lyska na cmentarzu wołyńskim, przed ekshumacją i transportem do Cieszyna, o czem pisaliśmy w zeszycie poprzednim.

RAFAŁ HIRSCH.
weteran 1863 r.

Wspomnienia z 1863 r.

Droga nam wypadła przebyć rzekę „Wieprz". Lody na rzece były już podmyte wodą, która wydobywała się na powierzchnię lodów.

Kazano nam zsiąść z koni — w lewej ręce cugle, w prawej pałasz, by idąc przodem konia, sondować lód.

Rzeka była w tem miejscu dość szeroka, przewodnik chłop szedł pierwszy i twiedził, że na szerokiej płazie rzeki lód jeszcze słabszym prądem wody podmyty jest grubszy, — przeżegnał się każdy z nas i po lodzie puściliśmy się na drugi brzeg.

Lecz i to się wszystkim nie udało, dwa konie i jeden chłop poszli na dno rzeki. Przebrnąwszy odetchnęliśmy, choć mokro w butach, ale na koń i dalej w drogę by unieść życie, do kraju, do Galicji.

W pochodzie tym, dość wesołym, bez piechoty, odbywaliśmy krótkie popasy, we dworkach dla zaprowiantowania się, dla zaciągnięcia języka a w kniejach leśnych bezpieczni, dla popasu i wytchnienia. Dwie noce, dwa dni nam tak upłynęło czasu. Ale zato na furgonie mieliśmy zapasów podostatkiem.

Na trzecią noc dotarliśmy do falistych okolic, wąwozem wygładzonym, między dwoma brzegami dość wysokich szkarpów, wąską tą jakby rowem drożyną, mieliśmy się wydostać na szczyt nam nieznany.

Dzionek był słoneczny, ale pod wieczór przymrozek zgładził drogę. Rozpacz, koniom oślizgły podkucia — spieszeni żołnierze prowadzą je za sobą — padnie jeden pierwszy, zmiata i podbija sobą idących za nim. Pozostałych kilku w ten spo-

sób, szmatami musieli obwijać obgładzone podkowy koniom i tak wydrapaliśmy się na płaszczyznę okoloną lasem, do jakiegoś folwarku. — Były tam obszerne owczarnie, był tam i dworek i był tam pan zarządca tego obejścia. Tam w cieple po zwalczeniu przeszkód stanęliśmy szczęśliwie na odpoczynek.

Wcześnie rano obudziłem się gdy wszyscy jeszcze spali, opatrzyłem konia mojego i konika Żelestawka, bośmy się zawsze kupką podtrzymywali, napoiłem je, — a był to koń mój już przez całą kampanję, koń szósty, zdobyty po poległym kozaku. Załatwiwszy się w stajni, udałem się do kuchni, by powąchać zapach pieczeni i zakurzyć papierosa.

Jeszcze nie usiadłem dobrze, gdy — jak piorun z czystego nieba — zakwiliły świstawki komendantów, z tem wirblowaniem nam już znanem, a zarazem sprawiające ciarki po skórze. Odezwały się wołania: na koń! chłopcy na koń!

Wybiegłem i ja i wnet wyjechałem ze stajni na majdan i stanąłem na skrzydle mojej roty.

Dwa szeregi koni parskają, chłopcy siebie opatrują. Widzę, że dwie podwody nasze stoją, pierwsza z ks. Kapelanem i kap. Etnerem. Dwaj chłopi, jako przewodnicy siedzą na koniach. Rotm. Jaszewski nadjeżdża przed nasz front, mówi do nas drżącym głosem:

„Koledzy kochani! Dobrze żeście wczoraj otrzymali pisemne urlopy — otoczeni ze wszystkich stron przez wojska rosyjskie nie wymkniem się im. Ostatnia decyzja moja jest, rozsypać się z miejsca, bądź po dwóch w kupie, bądź pojedynczo. Razem trzymając się kupą — ani noga z nas nie zostanie".

Cisza zaległa między nami — słychać tylko młotem serc bicia.

„Żegnam was drodzy ukochani, bowiem według widzenia mojego — rozpierzchnięci a nie kupą, zachowa z nas życie nie jeden.

Porucznik Wojna zwany, który wyszedł z pułkownikiem Miłkowskim z Turcji wysunął się z szeregów i mówi:

„Rotmistrzu kochany i zacny! rotmistrzowałeś nam przez czas półczwarta miesiąca — a były i nieraz bardzo trudne sytuacje — wołam! prowadź nas razem, pod twoją komendą chcemy bić się a trza i razem ginąć!"

Kto jest za tem! woła rotmistrz odubrochany.

Porucznicy wystąpili z szeregów z podniesionemi rękoma. Za przykładem ich i my w liczbie 30-tu ręce podnieśliśmy w górę. Westchnął rotmistrz, łzy mu zrosiły policzki. Zawołał: Żyć z wami i umierać! — tak! — tak!

Zakomenderował: Porucznik II-go plutonu w cztery ludzi i jednego przewodnika chłopa na koniu, wytyczną w pochód drogą trzymać się nie dalej jak 300 kroków na czele oddziału, ja sam albo adjutant, będziemy do was podjeżdżać. — Dwa plutony w awangardzie. Za niemi podwody, reszta jazdy w aryergardzie o 300 kroków szpica w tyle. — Ruszyliśmy w pochód.

Pałasze na temblakach, pistolety opatrzone w garść'ciach. Chwilami przystajemy, rozesłani porucznicy, zapewniają spokój, już jest około godziny dziewiątej przed południem, cisza — posuwamy się pochodem wciąż. Jedni z naszych, co mają manierki niepuste, popijają wódkę, zajadają, jeżeli który co w zapasie ma.

Z młodników leśnych weszliśmy na bardzo szeroką linję, po stronie prawej mieliśmy starodrzew lasu sosnowego, objaśniającą „że Rossyja już w miesiącu Lutym r. 1846 zarządziła wycinać przezorki" w lasach, a do tego wybierali najpiękniejszy drzewostan — poprostu rabunek — przezorki te, tak zwane leśne linje, miały mieć dla nich na celu, odsłonić po lasach kozakom, przemykanie grupom powstańczym. Po lewej stronie tej linji mieliśmy młodnik zwartego gąszczu.

Widzę — szpica naszego oddziału skręciła na lewo w ten młodnik, dalej bowiem na tej linji leżały powalone sosny, jeszcze nie uprzątnięte.

Zaledwie awangarda nasza zeszła w młodnik wąskiej drożyny, gruchnęły za nami salwy strzałów — dwóch naszych runęło z koni, kilku rzuciło się w ucieczce w las na prawo. Dragoni rosyjscy za naszemi plecymą pędzą z wrzaskiem, paląc z bandoletów do nas — „ławi nie ujdiosz!"

Ja już w tej ciasnej drożynie, biorę przeszkodę przy zatrzymanych się naszych podowodach — rzuciłem okiem na przelęknionych Kapelana i kap. Etnera, kilku naszych idzie w ślad za mną i skokiem koni docieramy do awangardy. Dragoni, zdaje mi się, musieli się zatrzymać z powodu zatarasowanej drożyny naszemi podwodami — bo krzyk ich już nie dochodzi mnie, zdaje mi się, żeśmy już odbiegli im kawał.

Ja z moim koniem na samym ostatku grupy, która mnie wyprzedza. Koń mój dobry, czuję, musiał się zadrasnąć przy przesadzaniu wozów, natęża się i nie posuwa się gładko.

Wpadliśmy tak na obszerną murawę, pośrodku której ciągnęło się zazieleniałe bagno albo strumyk. Nasi pomknęli naprzód wziąwszy strumyk przeszkodą szeroką na jakie 4 metry. Z tyłu za nimi widzę, że w tem bagnie tarza się już naszych trzech jeźdźców a własne konie tratują ich. — I ze mną to samo się stanie. W Imię Ojca i Ducha świętego — ściągnąłem mojego konia cuglami, daję mu ostrogą pod boki i przed samym skokiem przez bagno zwolniłem cugle, wrzasnąłem mu nad uszyma rozpaczliwie i równocześnie na odlew, płazem pałasza uderzyłem go

po lewem udzie. Stęknął konik i z całą siłą, biedaka, rzucił się przez bagno i nurzących się jeźdźców — przesadził, lecz uchwycił się przodem zaledwie brzegu drugiego, nogi tylne ugrzęzły mu w roztopie.

By mu ulżyć i siebie ratować, rzucam się z konia na bok lewy, ażeby nie zagarnął mnie pod swoje kopyta, pałaszem płazuję go po grzbiecie — tak! Koń bity stęka, chwytając przedniemi nogami grunt, wygramolił się na brzeg, ucieka odemnie i wlecze mię za sobą — lewą nogę mam silnie uwięzioną w strzemieniu od siodła, cugle od „munsztyka" plączą się pod nogami konia — jazda do piekła, czyli do nieba. — Żegnam ten świat i uderzeniem w sosnę lub kopytem konia zamknę powieki.

Dobrze mi było z tą szlichtadą po śniegu i grudzie — bo cóż zrobię — ale widać Bóg dobry tak nie sądził. Patrzę szarpany, a tu od lewej strony w poprzek mnie na przodzie, pędem konia wali kolega Popławski (obywatel starszy wiekiem z galicyjskiego Podola). Do niego z całych sił wołam, wzywając go po imnieniu: Kolego Popławski! schwyć konia mojego, jam żyw! Koń mój, jak mówię, plątał się w cugle wiszące mu pod nogami.

Popławski podjechał, chwycił konia mego za cugle, ja wyrwałem nogę, ale bez buta — but został w strzemieniu, chwyciłem za łęk siodła i jak małpa wskoczyłem na konia.

Nieliczna grupa dragonów puściła się za nami — trzask ich strzałów skierowanych do nas dwóch — powalił Popławskiego z konia.

Notatki.

Drużyny Bartoszowe.

Organizacja powyższa powstała w roku 1910, miała ona na celu tworzenie ognisk polskiego życia kulturalnego wśród ludu, młodzieży ludowej i robotniczej i pielęgnowanie ćwiczeń wojskowych u członków.

Drużyna Bartoszowa we Lwowie powstała w roku 1912, bezpośrednio po zażegnaniu wojny, jaka miała powstać między Austrją a Serbją. Pierwszym jej komendantem był inż. Wawrzyniec Dajczak, a kiedy ten nie rozwinął należytej akcji, Rada Naczelna Drużyn Bartoszowych powierzyła mi dowództwo nad Lwowską Drużyną Bartoszową, i odtąd zaczął się jej rozkwit. Lwowska Drużyna Bartoszowa liczyła 430 członków, rekrutujących się przeważnie z młodzieży robotniczej. Młodzież ta była nadzwyczajnie ambitną i pracowała ściśle w duchu wojskowym. Przytem ambicją każdego robotnika było posiadać własny mundur drużyniacki, który też spłacał sobie w ratach miesięcznych u krawca.

Lwowska Drużyna Bartoszowa liczyła 272 umundurowanych członków, ponadto pozostawała pod opieką dwóch oficerów, a to chorążego Osińskiego Józefa, słuchacza politechniki, i chorążego Mańkowskiego Karola, również słuchacza Politechniki, który z chwilą wybuchu wojny światowej wyruszył na plac boju i poległ chlubnie w obronie Ojczyzny.

Lwowska Drużyna dzieliła się na dwie kompanej, jedną z nich dowodził chor. Osiński, drugą chor. Mańkowski. W każdej kompanji było po 12 podoficerów i po 12 rotników, w r. 1913 odbyto kurs podoficerski, na który uczęszczało 63 kandydatów. Wykładowcami byli: porucznik DB. Stefan Pasławski, por. DB. Stanisław Śmigielski, por. DB. Marjan Weber, chor. Osiński i Mańkowski, oraz podchor. Janec Marcin.

Ponadto urządzono kurs samarytański, którego kierownikiem był dr. Aleksiewicz Józef. Frekwentantek było 30, z tego ukończyło kurs samarytański 7 pań z postępem celującym. Lokal lwowskiej Drużyny Bartoszowej mieścił się przy ulicy Polnej nr. 8, następnie przy ul. Działyńskich 5, w końcu przy ul. św. Teresy 2 b.

Z chwilą wybuchu wojny światowej wszystkie organizacje wojskowe, działające na terenie Małopolski Wschodniej, zostały ujęte pod Naczelne Dowództwo, skupiające się w rękach pułk. Józefa Fiałkowskiego. Jedna kompanja lwowskiej Druż. Bart. zaciągnęła się natychmiast do Legjonu Wschodniego, wówczas pod dowództwem Fiałkowskiego się organizującego, druga kompanja lwowskiej Druż. Bart. została — po zreorganizowaniu

się i wyekwipowaniu — wysłaną pod dowództwem podoficera Marjana Prosołowicza wprost do Jasła, gdzie był wyznaczony punkt zborny wszystkich roganizacyj wojskowych, działających na terenie Wschodniej Galicji. Z powyższemi kompanjami Drużyn Bart. doszliśmy do Mszany Dolnej koło Chabówki, gdzie Legjon Wschodni został częścią rozwiązany, a to z tego powodu, iż nie chcieliśmy złożyć przysięgi landszturmowej na wierność cesarzowi Franciskowi Józefowi I.

Druga część Legjonu Wschodniego, pozostająca pod dowództwem Józefa Hallera, złożyła przysięgę landszturmową i po sformowaniu dwóch pułków, w skład których wchodziły obie kompanje Drużyn Bartoszowych, — odeszła wprost pod Marmarosz Siget na Węgry, gdzie też otrzymała chrzest wojenny.

Celem ujednostajnienia, ożywienia i nadzorowania Drużyn Bartoszowych, rozsypanych po całej Galicji, stworzyła Rada Naczelna chorągwie, przydzielając do nich Drużyny z uwzględnieniem ich położenia terytorjalnego.

Na czele chorągwi lwowskiej stanąłem jako komisarz mianowany przez Radę Naczelną. I tu na tem polu rozwijałem jak najszerszą działalność, tworząc we wszystkich osiedlach ludowych oddzielne Drużyny Bartoszowe. Do jednej z największych Drużyn podmiejskich należała Drużyna w Brzuchowicach, w Mikołajowie nad Dniestrem, w Lesienicach i Winnikach.

Z działalności swojej, jak niemniej ze stanu chorągwi, zdawałem co kwartał dokładny raport na ręce Rady Naczelnej. Do Rady chorągwi powołano 7-miu członków, która była ciałem doradczem komisarza. Członkowie Rady chorągwi byli instruktorami, obowiązanymi do bezwzględnego posłuszeństwa moim zarządzeniom, to też wśród instruktorów przeprowadziłem dokładny podział pracy, stąd też chorągiew lwowska była jedną z najczynniejszych.

Drużyny Bartoszowe miały swój organ p. t.: „Dzwon", który wychodził każdego miesiąca, a później nawet każdego tygodnia. Organ ten zawierał oprócz wielu bardzo pięknych artykułów wstępnych, również sprawozdania poszczególnych Drużyn Bart. z prowincji, a ponadto dział urzędowy Rady Naczelnej Drużyn Bartoszowych, jak rozkazy mianowania i inne zarządzenia.

Lwowska Drużyna Bartoszowa utrzymywała bibljotekę dla swoich członków, ułatwiała im samokształcenie, urządzała wycieczki do miejsc historycznych i przemysłowych, ćwiczenia wojskowe i rewje, w których uczestniczyła niemal cała młodzież, skoordynowana w Drużynie Bartoszowej. Tu nadmienić muszę, że do lwowskiej Drużyny Bart. zaciągnęło się około 20 osobników, którzy mieli bardzo czarną przeszłość za sobą. Jednak pracując w Drużynie Bart., starali się oni o naprawę zła i wszyscy niemal zachowywali się później najlepiej, tak, iż ówczesny dyrektor policji dr. Józef Reinländer dziwił się, iż osobnicy ci potrafili wejść z powrotem na drogę uczciwą i nie dawali nigdy powodu do ujemnych spostrzeżeń. Wynikiem tego była ta okoliczność, iż niemal wszystkim wyrobiłem posady kolejowe.

Marjan Weber.

Śp. F. Szczepański, o którym wzmiankę umieściliśmy w zeszycie 60—61-szym.

Chołodecki Białynia-Józef. Z przeszłości gmachów wojskowych we Lwowie. Stron 33. Lwów, 1929 r.

Znany badacz i kronikarz naszych minionych czasów Białynja-Chołodecki, zawsze świeży i niewyczerpany — ogłosił drukiem dwuarkuszową rzecz o przeszłości wojskowych gmachów we Lwowie. Jeszcze 1919 r. wygłosił na ten temat kilka odczytów w „Uniwersytecie żołnierskim" — starając się wskrzesić w sercach młodych żołnierzyków miłość i przywiązanie do niejednego z tych koszarowych murów, pamiętających dobre czasy Rzeczypospolitej przedrozbiorowej.

W opowiadanym, historycznym szkicu o sześciu wielkich gmachach znajdujemy nietylko ich rodowód, ale i cały splot przeróżnych pociągnięć historycznych, które w tych czasach miały miejsce. Skrzętnie, jędrnie, po żołniersku podana treść tej pracy — winna się znaleźć w każdej sali żołnierskiej danego gmachu, by przyświecać następcom dawnych rycerzy i wojowników — sławą murów, które kochać i szanować jest obowiązkiem każdego polskiego obywatela.

Nakładem Tow. „Wiedzy Wojskowej" w Poznaniu, ukazała się na półkach księgarskich praca Jerzego Ciepielowskiego o **„KAZIMIERZU PUŁASKIM"**.

Wobec 150 rocznicy śmierci znakomitego wodza, praca powyższa, bogato ilustrowana oparta na działaniach wojennych Pułaskiego, w popularny sposób ciekawie charakteryzuje postać naszego bohatera, stanowiąc cenny materjał do wykładów lub pogadanek.

Zamówienia na broszurę przyjmuje Sekretarjat T. W. W. Poznań (Stab D. O. K. VII).

Cena egzemplarza 1 zł. 60 gr.

Polecamy następujące wydawnictwa:

JÓZEF PIŁSUDSKI O SOBIE
zebrał i wydał Z. Zygmuntowicz.

Treścią tej książki jest życie i przeżycia Marszałka od kolebki do ostatnich czasów według **własnych słów i opisów.** — Przeszło 120 stron druku dużego formatu, kilkadziesiąt ilustracji. Cena tej książki wynosi 10 zł.

Dla P. T. Wojskowych i Urzędników Państwowych, Policji Państwowej, Nauczycieli i Bibljotek publicznych i wszystkich Legjonistów cena zniżona tylko 8 zł. opłatnie.

A. BŁOTNICKIEGO: „Przez rewolucję 1905 r. do Legjonów 1914 r. Lwów, nakładem „Panteonu Polskiego" — Cena 2 zł.

M. LITYŃSKIEGO: „Z dni zgrozy i walk o wolność" — Cena 3 zł.

P. SMOLIKA: „Włodzimierz Konieczny (por. I. Brygady) człowiek i artysta". (Ilustr.) Cena 7 zł. 50 gr.

Z. ZYGMUNTOWICZA: „St. Król-Kaszubski", oficer I. Bdy, powieszony w 1915 roku przez Moskali. — Cena 1 zł. 20 gr.

„LWÓW NASZ" — dzieje walk i odsieczy Lwowa. Cena 1 zł.

W PRZYGOTOWANIU: Życie i czyny śp. T. Żulińskiego, por. I. Bdy, poległego w 1915 r.

Zamówienia kierować do administracji „Panteonu Polskiego", Lwów, Skrytka 98.

Do naszych P. T. Czytelników!

Zeszytem grudniowym zamykamy szósty rocznik naszego pisma.

O ile pod względem redakcyjnym poszczycić się możemy znacznym dorobkiem, o tyle stwierdzić niestety musimy, że i tego roku niedopisały wpływy i że zamykamy rok ten deficytem przekraczającym kwotę 3000 zł.

Opieramy się tylko na prenumeracie, nie korzystamy z subwencyj ani subsydjów, poza wpływami za prenumeratę i poza datkami, które od czasu do czasu wpływają — korzystamy tylko z pomocy finansowej wydawcy, który nie jest w stanie dalej pisma prowadzić.

Trzeba nam jeszcze kilkuset prenumeratorów, by pismo ewentualnie dalej utrzymać.

Zwracamy się przeto do naszych tyluletnich Czytelników z prośbą o zawiadomienie nas, czy reflektują na dalszą prenumeratę „Panteonu" i czy skłonni są do złożenia jakiegoś naddatku poza przedpłatą dla wydawnictwa. Pozatem moglibyśmy i w 1930 r. pismo utrzymać, gdyby każdy z Czytelników zjednał nam jednego nowego Czytelnika; mielibyśmy wtedy podstawę budżetową dla wydawnictwa na 1930 r.

Z tem zwracamy się do Was Szanowni Czytelnicy i prosimy o odpowiedź **do 20 grudnia b. r.**

W 1930 r. otrzyma każdy Czytelnik indeks dotychczas umieszczonych w „Panteonie" artykułów i notatek, pozatem indeks osób i o ile pozwolą na to materjalne stosunki — również Bibljografję Legjonów, której zarys jest już gotowy. Również wiele materjału kronikarskiego i pamiętnikarskiego zalega w naszej tece.

Wydawnictwo „Panteonu" przeznacza bezpłatnie dla każdego prenumeratora rocznego książkę p. t. **Przez rewolucję 1905 r. do Legjonów** 1914 r., zaś tym, którzy nadeślą nam należytą kwotę za dwóch nowych prenumeratorów wyślemy bezpłatnie książkę p. t. **J. Piłsudski o Sobie.**

W oczekiwaniu odpowiedzi życzymy wszystkim naszym Czytelnikom:

Wesołych świąt Bożego Narodzenia!

Wydawnictwo
„Panteonu Polskiego"
Lwów, skrytka 98.

Od red.: Załączonego spisu nazwisk drużyniaków nie mogliśmy umieścić z powodu braku miejsca. Oddamy spis ten Archiwum wojskowemu.

Józef Piłsudski o Sobie

zebrał i wydał Z. Zygmuntowicz.

Treścią tej książki jest życie i przeżycia Marszałka od kolebki do ostatnich czasów, według

własnych słów i opisów

Przeszło 120 stron druku dużego formatu, kilkadziesiąt ilustracji.

Cena tej książki wynosi 10 zł. (opr. 15 zł.).

Dla P. T. Wojskowych i Urzędników Państwowych, Policji Państwowej, Nauczycieli i Bibljotek publicznych i wszystkich Legjonistów cena zniżona tylko 8 zł. opłatnie.

Nieznane opisy z życia Komendanta, przewijające się od dzieciństwa w Żułowie, poprzez lata szkolne, sybirskie szlaki, katorgi i wygnanie w Tunce, X pawilony, przygotowania do ruchu zbrojnego, poprzez organizacje Strzelca, walki w Legjonach, Magdeburg i Naczelnikostwo Państwa, poprzez lata walk o wolność w 1920 r. i wreszcie do ostatnich czasów, wszystko opowiedziane, wzgl. opisane przez Marszałka w różnych czasach i okolicznościach.

(Oprawiona w płótno z złoconym napisem zł. 10 opłatnie).

Zamówienia prosimy skierować pod adresem Administr. „Panteonu Polskiego" Lwów Skrytka 98

NOWOŚĆ.

Niedawno wyszła z druku praca mjr. ADAMA JÓZEFA BORKIEWICZA p. t.:

„DZIEJE I-GO PUŁKU PIECHOTY LEGJONÓW"

Cena 25 zł.

Zalegających z prenumeratą — wzywamy do odwrotnego wyrównania.

Polecamy tygodnik p. t. „TYDZIEŃ" pod red S Thugutta. Pismo wychodzi w Warszawie.

MARS W KARYKATURZE. album pamiątkowy, rys. Czermański, **250 karykatur** wojskowych, wśród nich Marszałek Piłsudski, gen. br. Żeligowski, gen. Haller i wielu innych, pozatem b. wielu oficerów z terenu D. O. K. VI, dziś na różnych stanowiskach w całej Polsce.

Prenumeratorowie „Panteonu Polskiego" mogą nabyć ten album za zniżoną cenę t. j. 5 zł. (z przysyłką). **Kto zjedna dwóch półrocznych czytelników „Panteonu"** otrzyma Album **darmo i opłatnie.**

Zgłoszenia do administracji „Panteonu" we Lwowie, Skrytka 98.

REDAKTOR ODPOWIEDZ. Z ZYGMUNTOWICZ. ADR. RED. I ADM. LWÓW. SKRYTKA 98 — TEL. 22.90.
KLISZE WYKONANO W ZAKŁ. CYNKO-GRAF., „ARS", SYKSTUSKA 32. — DRUK. „SZTUKA", PLAC STRZELECKI 2.